XXV. Kraków, 1 listopada 1922 r. Nr 20.

„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie: w miejscu bez odnoszenia Mp. 1020—, z przesyłką pocztową Mp. 1140.— Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 95 (dom własny) Telefon Nr. 480

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na przedostatniej stronie — Mp 20.

Numer pojedynczy 200 Marek. **Redaktor: K. Krumłowski.** Numer pojedynczy 200 Marek.



— Wie pan, że gdy wypalę jednego papierosa i wypiję jeszcze kieliszek dobrego koniaku, ogarnia mnie taka wesołość, że gotowa jestem stawać go góry nogami.
— A więc służę pani papierosem, koniak wyborny mam w walizie!



Kwestya wschodnia.

Pewien mąż krewki w kochaniu,
Położywszy na posłaniu
Swą drogą życia połowę,
Kiedy przyszła mu myśl pusta:

Morzem Czarnem zwał jej głowę,
Carogrodem zaś jej usta;
Bosforem nazwał szyjkę białą,
A pierś z alabastru całą

Z dzielącym globy parowem
Nazwał morzem Marmarowem,
Niziny śnieżnej białości,
Tajniki co z ponęt słyną

Nazwał przybytkiem miłości,
Lub Dardanelską cieśniną,
A że ją kochał jedynie
W nocy, w dzień o słońca wschodzie,

To się krzątał po cieśninie,
To miód pijał w Carogrodzie,
To znów pływał po Bosforze,
To się kładł w Marmara morze.

Lecz w *status quo* nie długo żyli
W rok się strasznie pokłócili,
A powód do ich rozdzieli
Był po stronie Izabelli.

Mąż porzucił Izabellę,
Gdyż wbrew warunkom traktatu
Otworzyła Dardanele
Ku wygodzie wszemu światu.

Komisja sejmowa dla reformy rolnej.

Poseł *Nader* — wyzwolenie.
„ *Płocha* — Ludowiec.
„ *Zarudzka* — Lewica Piast.
„ *Targała* — Stapińszczyk.
„ *Chudy* — N. D.
„ *Kutas* — Ludowiec delegat *Witosa*. —

Z ormiańskiego.

W Tyflisie do sklepu muzykalnych instrumentów wchodzi jegomość i prosi o pokazonie mu fletu. Właściciel sklepu nie mając na składzie takowych, radzi jegomościowi kupno kontrabasu, lub bębna. Na zapytanie klienta, dlaczego nie chce mu pokazać fletu, właściciel daje mu następującą odpowiedź:

„Razu jednego pojechała orkiestra do Konstantynopola na zaproszenie tureckiego sułtana. Ponieważ sułtan był bardzo zadowolony z gry, kazał muzykantów poczęstować dobrą kolacyą i jako nagrodę dać im tyle złotych dukatów, ile się zmieści do instrumentów muzycznych. Muzykanci byli bardzo z tego radzi, bo do kantrabasu i bębna zmieściło się dużo złota, a do fletu ani jedna moneta nie mogła się zmieścić. Drugim razem ta sama muzyka pojechała na występ do Teheranu i grała przed szachem perskim, któremu muzyka wcale się nie spodobała i on w gniewie kazał muzykantów wyrzucić a instrumenty muzyczne wsadzić im w jędno *ciepłe* miejsce. Kontrabas, ani bęben tam się nie zmieściły, a za to flet akurat wlazł.





Więc pijmy, więc pijmy...

Nie myśmy pierwsi w początku picia,
Gdyż znane są ludy z chulaszczego życia:
Najsławniejszy z monarchów Napoleon Wielki
Nim pół świata podbił, wziął się do butelki.
Sobiecki pod Wiedniem gdy przeprowadzał Lachy
Co kwadrans regularnie zaglądał do flachy.
A nawet Diogenes, jakem się dowiedział,
Wpierw beczkę wypróżnił, a potem w niej siedział.
Jużto chłop czy krowę sprzedał czy też kupił,
Wracając z jarmarku zawsze się upił.
Wogóle powiedziawszy chłop, czy ksiądz, czy [żołnierz,
Każdy leje w gardło, ale nikt za kołnierz.
Rosą żyją rośliny, rosa pada z nieba,
Pili nasi przodkowie i nam pić potrzeba.

Wiluś się żeni!

Serce nie zna różnic wieku
I z latami nie umilka,
Przyszła chwila romansowa
W Doorn — na starego wilka.

Ledwie powziął plan szalony —
Już na świat depesze biegną:
Wiluś żeni się z hrabiną
Według prawa holandzkiego.

Nic nie mamy przeciw temu;
Jednak jest ciekawa sprawa:
Kto przy żonie go wyręczy
I według jakiego prawa?

Amerykański wujaszek.

OBRAZEK Z ŻYCIA.

Każdy wie, co to za szczęście, mieć w Ameryce wujaszka!... Chociażby nie przysłał stamtąd ani dolara, żyje się ciągle nadzieją, że lada chwila zapuka listonosz do drzwi i wręczy list, w którym, jako dowód pamięci o swych krewniakach, znajdą się dolary lub czek na nie.

Mieli i państwo Zygmuntowie takiego krewniaka w Ameryce. Przed kilkudziesięciu laty opuścił on Europę i w pogoni za szczęściem, znalazł się w Nowym Swiecie. Nie znali go wprawdzie, słyszeli jednak o nim wiele i pozostawali z nim w korespondencyi, nic też dziwnego, że nadzieja, którą nazywają matką głupich, była także matką państwa Zygmuntowstwa. Wiedzieli oni tyle, że w Ameryce próbował różnych zawodów, ostatecznie zaś był właścicielem wielkiego cyrku, niewątpliwie zatem musiał na tem przedsiębiorstwie zarobić jeśli nie gube miliony, to bodajby tysięcy dolarów, które, przeliczone na marki polskie, dadzą w każdym razie miliony. A te miliony należały się bezsprzecznie pani Zygmuntowej, jej wujem bowiem w prostej linii był pan Harry Thomas. Tak brzmiało obecne nazwisko wujaszka, który w Europie zwał się niegdyś Tomaszewski.

Byli zatem oboje stale przy nadziei i oczekiwali cierpliwie na owe miliony, które jednak jakoś nie nadchodziły, a zdałyby się bardzo, gdyż po wojnie krucho było z mieszkańcami Europy, a pensya miesięczna pana Zygmunta wystarczała zaledwie do połowy miesiąca, poczem całe dwa tygodnie trzeba było żyć kredytem lub obchodzić się smakiem. Pocieszali się jednak oboje nadzieją, że kiedyś będzie lepiej, a dolary, które dotąd nie nadeszły, nadejdą niezawodnie i to w niedługim już czasie, bo chyba wujaszek nie zechce im zrobić tego świństwa, by miał żyć lat sto lub więcej. Ilekroć wyczytali wiadomość o kradzieży listów amerykańskich na poczcie, powtarzali obydwoje jednozgodnie:

— Czy ten łajdak jednak nie ukradł przypadkiem i naszego listu?...

Ta myśl zatruwała im życie, pan Zygmunt był zdania, że złodziei amerykańskich listów powinno się oddawać pod sąd doraźny.

Nagle, jak piorn z jasnego nieba, wpada na państwa Zygmuntów wiadomość, że wujaszek Thomas z Nowego Swiata przeniósł się do lepszego świata. Radosną tę wieść przyniosło panu Zygmuntowi zawiadomienie, nadesłane z amerykańskiego konsulatu w Warszawie, donoszące o śmierci ś. p. Harry Thomasa i wzywające go, aby celem przeprowadzenia pertraktacyi spadkowej zechciał się stawić w biurze konsulatu.

Podobne urzędowe zawiadomienie nie pozwalało wątpić, że kochany wujaszek już nie żyje i że pozostawił po sobie majątek, w przeciwnym razie byłaby bowiem pertraktacya spadkowa zbyteczna. Pan Zygmunt klął na czem świat stoi, że Kraków jest taką dziurą zakazaną, w której niema amerykańskiego konsulatu, co go niepotrzebnie naraża na wydatki, połączone z podróżą do Warszawy i to do tego przy końcu miesiąca.

Mając jednak amerykański dokument w kieszeni, o pieniądze wystarać się nie trudno. Na jego widok otwarły się kieszenie znajomych, otrzymał także zaliczkę w biurze, jednem słowem, akcye pana Zygmunta podskoczyły w jednym dniu o kilkaset procent. Czując monetę w kieszeni, pogodził się z koniecznością jazdy do Warszawy, obiecując sobie w duchu, że się przy tej sposobności zabawi, jak na amerykańskiego milionera przystało. Z oburzeniem odrzucił też propozycyę żony, chcącej mu w drodze towarzyszyć, na zasadzie, że to jej wuj był, a nie jego.

— Mój, twój, to głupstwo, w każdym razie nasz! W urzędowych sprawach konieczną jest obecność mężczyzny, na podróż dla ciebie nie mam zresztą pieniędzy... Gdy jednak otrzymawszy spadek, pojedziemy sobie obydwoje nad Bałtyk, ty sobie będziesz tam łapać śledzie, a ja spróbuję szczęścia w Sopotach...

Wyściskamy i wycałowany, wysłuchawszy całej litanii napomnień i wskazówek, ruszył pan Zygmunt do Warszawy, dokąd przybył szczęśliwie i ulokował się w jednym z pierwszorzędnych hoteli. Nazajutrz po przybyciu udał się do konsulatu amerykańskiego, gdzie wprowadzono go do biura konsula, który przyjął go bardzo uprzejmie, a dowiedziawszy się kogo ma przed sobą, prosił siedzieć, poczem, wyszukawszy między aktami wielką kopertę, wręczył ją panu Zygmuntowi mówiąc:

— Proszę pana!... Oto list, a raczej testament ś. p. nieboszczyka Thomasa...

Drżącą ręką rozdarł szczęśliwy spadkobierca kopertę, z wnętrza której wydobył arkusz zapisanego papieru, na którym wyczytał co następuje:

„Moi Najdrożsi! Choć tak daleki od was a przecież duchem tak Wam bliski, czując zbliżającą się chwilę śmierci, chciałbym się z Wam pożegnać bodaj listownie, skoro nie mogę oso-



Jednego nie może się nauczyć...

— Dobry wieczór Jantoni! Jakże się ta macie?

— Bóg zapłać Franciszku, ot stary już człek i widzi mi się, że trzeba będzie wnet kitę odwalić, a że ta człek w życiu dużo zberezieństw narobił, to sę tak myślę, że się do nieba nie dostanie, ale pewnikiem do piekła.

— Cobyście ta Jantoni gadali, dyć przecie był tu jeden pan z miasta i opowiadał, że dusza człowieka po śmierci przechodzi albo w konia, albo w kure albo inne bydle. Na ten przykład Dąbal wlezie w okonia, ta latawica Kaśka, sołtysówna we wrone albo sojke, wszyśkie posły we wilków albo szakali. A wy Jantoni jakbyście chcieli żeby wasza dusza weszła?

— Ano widzicie Franciszku, w kurę bym nie chciał wleźć, boby mi gospodyni kazała ciągiem nieść jaja, a u mnie z temi interesami jest kiepska sprawa, w byka nie chciałbym także wleźć, boby mie golibyk migiem zarżnął, ale że konie lubię, i że o konia każdy więcej dba jak o babę, tobym chciał żeby moja dusza wlazła w konia.

— Widzicie Jantoni, jak chcecie po śmierci w konia wleźć, to trzeba za życia się do tego przygotować, trzeba trochę pług, brony albo wóz pociągnąć, pogonić trapa i galopa, próbować jeść siano i owies, to po śmierci już napewno dusza wasza wlezie w konia i będziecie umieli wszystko bez nauki i bata.

Na drugi tydzień zeszli się obydwaj sąsiedzi w karczmie jak zwykle pozdrawiając się.

— Jak się macie Jantoni, cóż ta na was słychać?

— Bóg zapłać Franciszku, rozważałem wasze gadanie i próbowałem bronę ciągnąć i wóz, żarłem siano i owies, bo ta zębiska mam jeszcze zdrowe, no i wszystko bym potrafił, tylko jednego nie potrafię co koń robi, a to jak pędzę galopa, to nie mogę się tak jak koń, niby na ten przykład, wiecie, niby jak podniesie ogon...

Złota księga paskarzy.

Dwóch Wołkowskich i Vorzimer,
Nuzikowski i Piątkowski,
Boluś Górski i Madejski,
Kisielewski i Mrozowski.

Jan Lisiński, Ludwiś Nędza,
J. Skrzynkowicz, Noworolski
I ten ładny Włodek Hajto —
Ich nazwiska — chlubą Polski!

Wiecie kto ci dobrodzieje?
Ci, co robią „konjunkturę“ —
Kupcy, których za paskarstwo
Na czas jakiś wsadzą w dziurę.





Uzupełniona bajeczka.

Król zachorował, bo taki los
Dotyka czasem i króle —
Tabes połamał kości mu
I w krzyżach straszne miał bóle.

Nadworny medyk poradził więc
Choć ogół mu niedowierza;
Niech król spróbuje koszulę wdziać
Ze szczęśliwego pasterza — — —

Szczęśliwy pasterz snalazł się —
Lecz nie znał co koszula;
Koszulę darowano mu — —
Nazajutrz — pasterz do króla.

Bajeczka ta jest znana wam
Każdy ją dzieckiem znał bowiem,
Ale nie znacie końca jej,
A ten — pozwólcie... dopowiem:

„Szczęsny pasterzu! koszulę daj!
A król wnet będzie zdrowy“.
Niestety: pastesz zapomniał jej
W sypialni — u królowej!

Obrażona.

— A to powiadam pani łajdak! Moja córka miała z nim dziecko — zrobiliśmy dobrowolną ugodę, zapłacił 50.000 i co pani na to powie, pokazało się, że wszystkie fałszywe!

---

biście. Kończę mój tułaczy żywot na obcej ziemi, w ostatniej prawie nędzy, nie każdemu bowiem Ameryka była matką, dla mnie okazała się jedynie macochą. Jakiś czas powodziło mi się wprawdzie dobrze, gdy prowadziłem cyrk, straciłem jednak kompletnie na tem przedsiębiorstwie, z którego pozostały mi jedynie trzy żony i tresowana małpa. Trzeba Wam wiedzieć, że należałem tutaj do sekty Mormonów, u których wielożeństwo jest dopuszczalne, ilekroć zatem miałem w swej trupie jakąś wybitniejszą artystkę, brałem z nią ślub, aby mi jej przypadkiem nie odbito. W ten sposób doszedłem do dziewięciu żon, z których jeszcze trzy zostały przy życiu. Są to poczciwe Lilian, Edith i Mary, moje wierne towarzyszki, które dzieliły ze mną losy i pielęgnowały mnie w ostatnich chwilach.

Jedna z nich to doskonała woltyżerka, druga brzuchomówczyni, trzecia poskromicielka wężów, dziś już staruszki, nie mogące oddawać się z powodu podeszłego wieku swemu zawodowi. I to mnie właśnie najbardziej martwi, że schodzą z tego świata, nie zapewniwszy im spokojnej starości, pociesza mnie jednak myśl, że Wy moi kochani krewni, zginąć im nie dacie. Pragnąłbym bardzo, abyście je sprowadzili do Europy i zajęli się ich losem, a nie zrobi to chyba wielkiej różnicy, wiem bowiem, że obecnie pensye urzędnicze w Polsce idą w miliony. Tresowaną małpę Wam także przekazuję, abyście, spoglądając na nią, wspominali sobie waszego kochającego wuja, który o Was pamiętał nawet w chwili swej śmierci. Przyślijcie zatem pieniędzy na transport Waszych ciotek do Europy, najlepiej byłoby, aby mąż mojej kochanej siostrzenicy wybrał się sam po nie do Ameryki i otoczył je w drodze należnemi staraniami. Nie wątpię, że tej ostatniej mej prośbie nie odmówicie i ta myśl pozwala mi spokojnie umierać. Niechaj Pan Najwyższy będzie z Wami...“

W miarę jak pan Zygmunt czytał oryginalny testament, wydłużało się coraz bardziej jego oblicze, a najrzadszą minę miał w chwili, gdy zagadnął go pan konsul:

— Zatem znaną jest łaskawemu panu ostatnia wola jego ś. p. wuja... Czy pan ją przyjmuje?

— Co się tyczy owej tresowanej małpy — odparł zagadnięty, ostatecznie możebym zgodził się na jej przyjęcie, natomiast o owych dalszych trzech małpach nie chcę ani słyszeć!

— W takim razie nic ze zapisu, wszyskie cztery bowiem wciągnięte zostały do inwentarza spadkowego, który rozdzielony być nie może!... Radziłbym jednak kochanemu panu namyśleć się jeszcze, taka bowiem tresowana małpa dziś, w przeddzień wyborów, prawdziwy majątek!... Sprowadzenie zaś całej rodziny do Europy nie będzie pana więcej kosztować, jak gdzieś około miliona marek polskich.

Pan Zygmunt nie słuchał już dalej, jak szalony wybiegł z konsulatu, ze słowami na ustach: „A niech szlag trafi wszystkich nieboszczyków amerykańskich wujaszków!...“ podążył do hotelu, stamtąd na dworzec kolejowy, gdzie kupił bilet trzeciej klasy do Krakowa i z pięciu markami w kieszeni rozpoczął powrotną drogę w zupełnie innem usposobieniu, niż ją odbywał w tę stronę. Jak bańka mydlana, prysły złote sny dolarowe, po głowie chodziła mu tresowana małpa i trzy kochane ciocie, woltyżerka, brzuchomowczyni i poskromicielka wężów...

Łatwo sobie wyobrazić, jakie było przyjęcie w Krakowie pod rodzinnym dachem. Powitała go żona słowami:

— Ile milionów?

— Tresowana małpa i trzy ciotki!... — odparł z miną samobójcy.

Po naradzie familijnej, na której z ust męża dowiedziała się pani Zygmuntowa o ciosie, jaki ich spotkał, rzekła ocierając łzy z oczu i z nosa:

— Miała jednak racyę moja nieboszczka mama, gdy mówiła, że wuj Henryk, to człowiek nieużyty, który nic dobrego dla rodziny nie zrobi.

— Tresowana małpa i trzy ciotki!... — dodał jak echo pan Zygmunt.





Ona: Mój mężu! Czuję w sobie nowe życie!

On (zaniepokojony): Bój się Boga! Czy ty wiesz, co się dzisiaj płaci akuszerce?



— Pani ma migrenę i nie przyjmuje nikogo prócz lekarza.

— Sądząc po butach z ostrogami, które widać z za kotary — to lekarz wojskowy!



— Wejdź i przekonaj się, czy jest prawdą, co mówią ludzie, że mężczyźni u mnie bywają.

— Ale oni twierdzą zupełnie przeciwnie: że ty u nich bywasz!



— Mężczyzna honoru nie przemawia w ten sposób do kobiety, którą szanuje.

— A kto pani powiedział, że ją szanuję, a przedewszystkiem, że jestem mężczyzną honoru?



Sublokator.

— Mój dom słynął zawsze z moralności, a tu pan dziewczęta sprowadza do pokoju!... Mój panie! przecież ja mam córkę...

— A, to co innego!... Przyślijże mi pani swoją córkę!...



— Proszę oszczędnie z wodą, bo magistrat...

— Wiem!... Magistrat potrzebuje sam dużo wody dla firmy „Federowicz i Palugyay“!...



— Piersi panie, to jak dwaj policyanci, strzegący moralności!...

— Tak!... A kto ich zaczepia, ten się dostanie do dziury!



— Kiedy robią dzieci największą radość rodzicom?

— Na dziewięć miesięcy przed swem urodzeniem!

Ferdek Eleuteryk.



Bardzo mi miło, że mi jest przyimnie, ale zmuszony jezdem okolicznościami wstrzymać sie od kandydowania i skróś tygo prosze pięknie Pete wyborców i wyborczynie, aby mnie nie wsodzali na żodnem liste, ani syjmowom, ani synackom.

Takie postanowinie powziołem, przeczytawszy wielgie wzajemne wieszanie psów na sobie bez różnych kandedatów, które som sobie wymyślajonce od kajdaniarzy, aprowizatorów, sufraganów i inkszych dobrodziejów ludzkości. Spaskudzić komuś famielije, to nic trudnygo, ale potem prać swój honur nie tak łatwo i kosztuje to cińszkie hopy, bo gdy wszystko podrożało, podniesły sie też ceny i w pralni honorowej. Jeżeli wypranie jednygo kołnirzyka kosztuje sto marków, wypranie całygo faceta i jego famuły musi być drożsiejsze. Możno wprowdzie wyprać kogo za darmo, ale takie pranie odbywo sie na sucho i to jest właściwie maglowanie, a nie pranie, albo też „robota rymarska", o której mógłby coś t. zw. „redaktor" Rymar państwu powiedzieć! Same przygotowania do chemicznygo pranio hunoru som połonczone z kosztami.

Rozważajoncy to wszystko, puknąłem sie w makówe i powiedziołem sobie: „Ferdek, nie bondź głupi i nie pchaj nosa w szpare!"

Proponowały mi jeneroły od Dupków, abym do nich był przystajoncy, a ani sie obejźre, jak wyleze z uryny i to bez nijakigo ekspensu, bo co sie tyczy kiełbasy wyborczej, to tę już przygotowali, a i wódeczności nie braknie i kużdy z wyborców, który przysingnie, że bedzie głosowoł na ich liste, jeszcze przed pirszym listopadem dostanie w graby latare silnej z mocnom, abo głombikowyj w krotke.

Przyknajoł ci do mnie na swym Smoku i radca Bosobucki i namowioł, żebym był z nim jedna graba, a jak nie bedzie ze mnie poseł, ale jo po dłużsiejszym rozważunku pomyślołem se, że lepi cicho siedzieć, bo mogłyby mi moje nieprzyjaciele poletyczne nagrypsać taki nekrolog, że nie poznołbym ani som siebie, ani mnie rodzono moja matka, choć jezdem właściwie synem mojej ciotki, któro mojom matke wyrenczyła, gdyż wtedy było u nas wielgie pranie i sama matka czasu nie była majonco. A nimom bynajmnij ochoty dowiedzieć się *śwarc auf wais*, że od dziesienciu lot powinienem siedzieć w kryminole, że jezdem analfabeta, paskorz defraudant, złodzij ameryksńskich listów, zwyrodniałe indywiduum, które z własnom teściowom utrzymywało stosonek miłosny i o innych obewatelskich przymiotach, o jakich som nimom pojińcia, ale wynajdom je moi wrogowie. Pranie hunoru w takim przypodku na nic sie nie przydo, choćbym z nigo bowiem wyloz świconcy sie jak psie uszy, kużdy pokiwo ino makówom i powi:

— A przecie musiało tam cosi na tym być, bo tak *mir nichts, dir nichts* nie byliby grypsali...

Kandedowanie to zresztom nie jest żoden interes, po pirsze bowiem mogom człekowi nawymyślać, a nawet i sprawić lanie, co do przyimności nie jest należoncem, po drugie zaś rza na takom zabawe hopów i to morowo!... Ponieważ zaś mom takie przyrodzynie, że wole być hopy bieroncym niż dajoncym, zostane raczyj wyborcą, udającym, że sie ni może ani rusz zdecydować, któro lista najkławszo. Różne agitatory bedom sie starały przekonać mnie, że ino ich kandedat to brylant, a reszta z przeproszyniem to śmieci, ponieważ zaś nie daję sie tak prendko przekonać, bede mioł zapewnionom przynajmnij bez dwa tygodnie gratisowom wyżyre i galanty cyc, a może nawet kapnie i co do doliny...

Anegdoty autentyczne.

Młoda dama jedzie koleją, vis á vis siedzi jakiś pan. Gdy dojechała do Krzeszowic, wstaje i chce wysiąść. Ale pociąg jest jeszcze w ruchu, dama zachwiała się i usiada nagle na kolana obcego pana.

— Przepraszam! — rzecze zaambarasowana — myślałam, że już stoi!

— Oh! oh! — odpowiada nieznajomy — to trwa zawsze znacznie dłużej.

* * *

Lokaj (do pokojówki z sąsiedztwa): Oh! panno Róziu! myślałem, że panienka umarła!

Pokojówka: Dlaczego?

Lokaj: Słyszałem, że tej nocy wziął Rózię pan do siebie!...

* * *

Żebrak (do kupca): Panie radco! siedzieliśmy niegdyś razem na jednej ławce.

Kupiec (wyniośle): Nie przypominam sobie!... W którym instytucie?

Żebrak: A u świętego Michała!

Fatalna stylistyka.

Agronom: Jeśli pani panno Zofio, interesuje się wołami i nierogacizną, to jest pani akurat odpowiednią żoną dla mnie.

„Domowe" wykształcenie.

Młodzieniec (do młodej warszawianeczki): Czy wolno zapytać jak pani na imię?

Panna: Także *cuś!*... Ale mniejsza o to! niech pan zgaduje! Moje imię zaczyna się od litery „C".

Młodzieniec: Cecylia?

Panna: Nie!

Młodzieniec: Czesława?

Panna: I to nie!

Młodzieniec: A więc?

Panna: Helena!...

Młodzieniec: A jaką potrawę pani najbardziej lubi?

Panna: Moja ulubiona potrawa zaczyna się na literę „O".

Młodzieniec: Omlet?

Panna: Nie zgadł pan!... *Ontróbka!*...





Chłop i żaba.

Chłop w noc zimową, gdy mróz parzył srodze
Zmarzniętą żabę znalazł gdzieś na drodze,
Zabrał do domu, dał ją na przypiecek
I zdał opiece swej żony i dziecek.

Nadeszła wiosna, chłop żabie powiada,
Że chce dowodów wdzięczności od gada,
Koń padł mu w zimie — szkapa była słaba!
Niech więc do pługa zaprzęgnie się żaba!

Aby okazać swoją dobrą wolę
Poszła więc żaba z swym chłopem na rolę.
Gdy pług szarpnęła — jej konstrukcya krucha
Pękła na dwoje — i oddała ducha.
Chłop tylko splunął z uczuciem goryczy:
„Niech nikt na wdzięczność drugiego nie liczy!"

W sprzeczce.

— Nu! Sarciu! Czego ty potrzebujesz narzekać! Czy ja jestem złym mężem? Czy tobie czego brakuje?... Czy nie masz zaraz, czego tylko zapragnie twe oko, lub usta?

— Tak mój Aronciu! Ale ty pamiętaj, że prócz ust i oczu, to człowiek ma jeszcze i inne części ciała!...

Co się komu należy.

Pisarz: Jak mam zakończyć list do pana X. „Z głębokim szacunkiem", czy inaczej?

Pryncypał: Napisz pan tylko „Z poważaniem". To przecież znany baciarz!

Wyraźnie.

Żona pewnego urzędnika, zjawia się u ministra — oczywiście z prośbą o protekcyę dla męża. Ubrana jest w skromnej czarnej sukni.

— Wybacz Ekscelencyo, mój strój.

— O! jeżeli to panią żenuje — odpowiada z galanteryą minister — to może pani zdjąć tą suknię!...

Nasze sługi.

Pani: Ja nie zniosę tego, by moja służąca noce poza domem spędzała!

Pokojówka: Dobrze pani tak mówić, jak pani ma męża!

* * *

Kucharka (do kaprala): Ah! mój Michałku! jak ja sie martwię!...

Kapral: A to czego?

Kucharka: Czy ty mnie będziesz kochał, gdy zostaniesz jenerałem?

Z listów Hermogenesa Klapy.



Kochana Redakcyo!

Mój przyjaciel polityczny Lloyd George, ma taką minę, jak gdyby kto wbił mu szydło w najbardziej bolesną część ciała. Jego polityka turecka zaczyna mu już wyłazić bokiem, wystarczy wspomnieć mu nazwisko Kemala baszy, aby skoczył jak oparzony i zawołał:

— Niech go szlag trafi, tego łajdaka!... Chciałem, aby Turkom było dobrze, a te oczajdusze nie rozumieją moich dobrych intencyi... Konstantynopola się im zachciewa, Tracyi i Adryanopola!... Jeszcze czego! ...Ale ja już sobie z nimi dam radę i przepędzę tę hołotę, gdzie pieprz rośnie... I kto byłby się tego spodziewał, że oni ośmielą się sprzeciwiać się mojej woli?... Fujara ten Konstantyn grecki, byłem przekonany, że on Turkom przetrzepie portugalię, a tu oni tymczasem dobrali mu się do skóry i puścili biedaka bez portugalii... Ale trudno, losy wojny są zmienne, zwykle jeden w niej tylko wygrywa i to zwykle mądrzejszy, a jak się zdaje Kemal basza, choć nie nosi korony na głowie, o wiele przerósł Konstantyna!... Trzeba będzie coś zrobić dla biedaka, aby mu łzy otrzeć... Może się otworzy jaki nowy tron, naprzykład w Albanii, będzie go można tam na starość osadzić...

Jak zwykle w podobnych wypadkach, t. j., ilekroć Lloyd George zrobi sam głupstwo, stara się zawsze znaleźć kogoś, kto żałowałby go w nieszczęściu. Tym razem padł wybór na mnie, ponieważ od lat szeregu żyję z Kemalem baszą w bardzo zażyłych stosunkach, pomagałem mu nawet swojego czasu przy zakładaniu haremu.

— Słuchaj, Klapa!... — rzekł do mnie — Niema innej rady, tylko musisz jechać co prędzej do Małej Azyi i wytłómaczyć temu nieznośnemu Turkowi, że to nie wypada, a nawet jest bardzo niebezpieczne, by sobie miał drwić ze mnie, bo ja mogę się zgniewać, a wtedy będzie źle!... Niech on sobie wybije z głowy Bosfor i Dardanele, bo, gdzie się raz już usadowiłem, to się już stamtąd nie ruszę. Niech mu wystarszy do szczęścia, że zerżnął skórę Grekom, za to mu się słusznie order należy, ale niech też na tem skończy, niech siedzi w swym haremie, iska swe potomstwo i chwali Allacha, jak umie... Bo, powiem ci, mój Klapa, w zaufaniu, że zaczynam się obawiać, aby on z angielskimi żołnierzami nie postąpił sobie tak niegrzecznie, jak z greckimi. Dlatego trzeba, abyś mu porządnie nakiwał, tak jak ty to umiesz, a może się przelęknie i da spokój.

— A jeśli się nie przelęknie?

— Otóż to sęk, a w tym sęku dziura!... Nie tracę jednak nadziei, że, jeśli ty tam się znajdziesz, to on się z pewnością przelęknie... Nakładź mu zresztą do łepety, że co mu z tego przyjdzie, choćby nawet jeszcze z dziesięć razy zwyciężył, skoro ostatecznie cała historya dostałaby się przed forum Ligi Narodów, Rady Najwyższej, Rady Ambasadorów, zaczęlibyśmy ją roztrząsać na różnych konferencyach i zjazdach i nazywam się Teitelbaum, a nie Lloyd George, jeśli uda mu się doczekać owoców jego zwycięstw... Chyba, gdyby miał pewność, że pożyje jeszcze co najmniej ze dwieście lat... Najlepiej byłoby, gdybyś, korzystając ze swych stosunków i znajomości, wkręcił się do jego haremu i tam nakłonił jego niewiasty, by zagroziły mu biernym oporem, a nawet bezrobociem zupełnem, jeśli nie wstrzyma się od dalszej wojny... Wytłómacz im na rozum, że to nie jest żaden Turek, który się tylko tłucze po świecie, zamiast pilnować ogniska domowego i starać się, aby się żony nie nudziły...

— Bardzo to pięknie, mój zacny Lloydzie Georgeu, ale czy wiesz, na co ja się wówczas narażam?... Chyba słyszałeś o tem, jak niegościnnie obchodzą się Turcy z obcym, który nie proszony włazi im w haremową kapustę...

— Głupstwo!... Głowy ci nie utną!

— Właśnie w tem całe nieszczęście!... Gdyby głowę ucięli, skończyłoby się wszystko od jednego zamachu, ale te bestye głowie dają zwykle spokój, a dobierają się człowiekowi trochę niżej... A muszę się przyznać, że nie mam najmniejszej ochoty poddać się podobnej operacyi...

— Prawdę powiedziawszy, mój kochany, to na stare lata nie powinno ci to robić różnicy!... Pozbędziesz się tylko niepotrzebnego ciężaru...

— Uwaga bardzo mądra i zupełnie na miejscu, dlaczegóż jednak dobrodziej sam nie podejmie się tego, ale wysługuje się kim innym?... Chciałeś Turków wypędzić z Europy, posłałeś Konstantyna, teraz, aby się załatwić z Kemalem baszą, wysyłasz mnie. Tamtemu się nie udało, prawdopodobnie i ja wróciłbym z kwitkiem, ale za to bez tych ozdób, które potrzebne mi będą w listopadzie na weselu Wilhelma, który zaprosił mnie na drużbę. Ponieważ zaś mam zamiar wystąpić w stroju krakowskim i konno, zatem bez dzwonków obejść się nie mógłbym... A, jak zaczynam spostrzegać, fortuna zwraca się ku tobie coraz częściej smutną twarzą!... Masz ochotę, to jedź sobie sam, ja się z miejsca nie ruszę, bo zdrowie i życie jest mi miłe, a Turcy, to naród daleki jeszcze od europajskiej cywilizacyi, zatem walczący czynem, a nie słowem. Zresztą mam obecnie czas bardzo zajęty, przedewszystkiem muszę bowiem przygotować się do godnego wystąpienia na weselu Wilhelma, aby jemu i sobie wstydu nie zrobić. Przedewszystkiem muszę więc dać kołnierzyki do prania, frak do krawca, aby go wyprasował, choć bowiem, jak mówiłem, wystąpię po krakowsku, bez fraka się nie obejdzie, zwłaszcza, że mam tam pozostać około dwa tygodnie. Nadto muszę znaleźć tyle czasu, aby módz skoczyć przedtem do Polski, gdzie zamówiłem maszynkę kolbuszowską, którą mam zamiar wręczyć Wilhelmowi wraz z przepisem użycia jako prezent ślubny... Na to wszystko trzeba czasu..

Uważałem, że moja odmowa poszła Lloydowi Georgowi po nosie i kto wie, czy się skutkiem tego nie poda do dymisyi, sam bowiem niema ochoty narażać się na niebezpieczeństwo, a kandydata do wyciągania gorących kasztanów z pieca tak łatwo nie znajdzie.

Gdy mu radziłem, aby sam jechał do Małej Azyi i konferował z Kemalem baszą, odpowiedział:

— Ani myślę!... Moja żona zabroniła mi kategorycznie, o ile bowiem stawia mi zawsze za przykład Turków, jako wzór mężów, spełniających gorliwie swe obowiązki, o tyle jest ich nieprzyjaciółką ze względu właśnie na to niegościnne obchodzenie się z obcymi, o którem przed chwilą wspomniałeś!...

— Tak?... To taki przyjaciel z ciebie?... Więc dlatego, że się ty boisz, a raczej twoja żona boi się o ciebie, mnie chcesz narazić na niebezpieczeństwo?... Figa z naszej przyjaźni!...

— Nie bądź głupi i gadaj po ludzku!... Co tu mieszać przyjaźń z polityką! Polityka tak wymagała, zatem taką zrobiłem ci propozycyę!

— A ja, choć to może niepolitycznie, zrobiłbym ci inną propozycyę!... Także możesz ją przyjąć, albo nie!...

To rzekłszy, skierowałem ku niemu odwrotną stronę medalu, on mnie jednak widocznie nie zrozumiał, na zrobioną propozycyę pozostając nieczuły, co jednak na zmianę stosunków między nami zupełnie nie wpłynęło.

Wybierając się do Kolbuszowej, odwiedzę po drodze Kraków, trzeba zatem zawiadomić o tem Radę miejską, aby wiceprezydent Wielgus miał czas na przygotowanie sobie mowy powitalnej. W ostatecznym razie mógłby wygłosić swą mowę kandydacką, bo podobno ma ochotę do Sejmu. Mnie to nie zrobi różnicy, co powie na me powitanie, takich przemów słucha się bowiem jednem uchem, a drugiem lub innym otworem cielesnym zaraz się je wypuszcza. Byłoby także wskazanem, aby gmina miasta Krakowa postarała się o uroczysty bankiet na mą cześć w sali Starego Teatru, nie jestem przecie gorszy od tych, których wita się w ten sposób w podwawelskim grodzie.

Zatem do zobaczyska w Krakowie!

Klapa.



Myśl damy w Polsce.

— Tak! — Jeśli zaślubię kogo, to tylko awiatora! To jest sport nader niebezpieczny a mnie tak jest do twarzy w czarnym kolorze!..

Do kompletu.

Radca miejski Y. spóźnił się nieco na posiedzenie rady. Gdy znalazł się w przedpokoju sali radnej, przekonał się, że posiedzenie już się zaczęło. Pyta więc woźnego:

— Te durnie zeszli się w komplecie?

— Prócz pana radcy — odpowiada zapytany — nie brakuje nikogo!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krumłowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie.



Wiejska galanterya.

Wiejski parobek: **A to dziw!... żeby na jaworze były jabłka.**
Letniczka: **Gdziesz one są?**
Parobek: **A u panienki za pazuchą!**